ROK PIĄTY.

—

№ 48.

WARSZAWA

d. 14 (26) listopada

1860.

REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1527.

NIEDZIELA.

26ta po Świątkach.



„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (S. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Bądźcie miłosierni, jako Ojciec wasz niebieski miłosierny jest. (*Czytania Bractwa Miłosierdzia na każdą Niedzielę roku przez X. P. Skargę*).

Wilia Śgo Andrzeja.

—

Wieczorną chwilą o owej porze,
Gdy się to adwent zaczyna,
Dwie młode dziewki w ciasnej komorze
Przędły przy świetle komina.
Lecz jakoś wolno szła im robota,
Zaczęta ledwo w połowie,
A z oczu niby myśl ta migota,
Że coś innego tam w głowie.
— Słuchajno Jaguś, Maryna rzecze,
Łatweć to pracy pozory,
Nam się tak wolno kądziel ta wlecze...
Oj! gdybyż wybiedz z komory!
Wszakże to dla nas dzisiaj nadzieja,
Co nam jej Pan Bóg dał hojnie:
Dzisiaj świętego wilja Andrzeja,
A my tak siedzim spokojnie.
A toćże i nam mężów już trzeba,
Ciekawam, przyznać się szczerze,
Gdy złożym w progu dwie bułki chleba,
Którą też Łysek wybierze?
I jakoś w porę Łysek się wśliznął,
Nęcą go obie dziewczyny,
Pies schwytał szybko, aż się obliznął,
Lecz schwycił bułkę Maryny.
I nuże dalej dwie swawolnice,
Łudzone błogą nadzieją,
Patrz, w wody pełną, dużą donicę
Różnemi kształty wosk leją.
Lecz jakoś smutna dola Jagusi,
Wosk się rozlewa na szmaty,
A dla Marynki zawsze być musi
Gajowy, młynarz, bogaty.
Nic też dziwnego Marynka młoda,
Wszystkich urodą zachwyca,
Świeża, rumiana, niby jagoda,
Jak mleko białe ma lica;
A biedna Jagna na twarzy śniada,
Blada jak jesień w poranku,
Jej też daleko i mniej wypada
Marzyć o takim kochanku.

—

Przeszedł już adwent, przyszły zapusty,
Już nawet post się przymyka,
Zkąd dolatuje ten rozgwar pusty?

Gdzież to tak huczy muzyka?
Między drużkami w młodzieży kole,
Cóż to za dziewa zasiada
W ślubnem ubraniu, z wieńcem na czole?...
To nasza Jagula śniada.
Tożby to skłamał Łysek niecnota,
Wszak wróżba była tak jasną,
A dziś jednakże Jagna sierota,
Wyprzedza Marynkę krasną.
Nic jej nie pomógł wosk na donicy!...
Jeśli na wiarę zasłużę,
Ja wam wyjaśnię treść tajemnicy,
I com słyszała, powtórzę:
Bo w całej wiosce, wieść nie przemija,
Co w każdych ustach odbrzmiewa,
Że Maryś w tańcu tylko się zwija,
A nad robotą poziewa;
Że nienawidzi igły, kądzieli,
Na każdej pierwsza biesiadzie,
Rano zbyt długo leży w pościeli,
Wieczór zbyt wcześnie się kładzie.
A dobra Jagna skromna uczynna,
Chociaż rumieńcem nie płonie,
Przy każdej pracy hyża i zwinna,
I pierwsza na swym zagonie.
Więc też choć biedna, szpetna, sierota,
Droższemi błyszczy zalety,
Boć to wie każdy, że pilność, cnota,
Najlepszem wianem kobiety;
A kto chęć pracy zawsze odwleka,
W swych wdziękach szuka oręża,
Wyjdzie jak Maryś, co dotąd czeka
Z gładką twarzyczką na męża!

Wędrówka po kraju.

III.

—

Ponieważ nasz Korwic gdzieś się zapędził daleko po kraju, i sam rozmawiać z nami nie może, podajemy przeto spisany z opowiadań jego obraz górali, którzy zamieszkują góry, za Krakowem daleko się ciągnące.

—

Rozmaicie Bóg uposażył lud Polski. Jednych osadził na żyznej ziemi, ta im plon obfity wydaje i mają dostatkiem chleba; drugich w wielkich dawniej puszczach, borach i lasach, a nieplennej glebie; mało więc sieli, ale za to byli dzielnymi strzelcami, chodowali w lesie roje pszczół. To też mięsa im z dzikiego zwierza nie brakło, sycili wyborny trunek do picia, sławny miód polski, a za wosk brali niemało grosiwa i jeszcze go składali daniną na ołtarz kościelny, z którego wyrabiano świece. Inni osiedli ponad wielkiemi jeziorami i rzekami, wprawili się też w łowienie ryb i niemi głównie żyli, nie opuszczając roli i myślistwa.

Najuboższy z polskiego ludu, jest góral, co zasiadł od wieków na wysokich górach, które dawniej stanowiły ręką Boga zakreślone granice Polski od Węgier i Siedmiogrodu. Tam ziemi do siewu, tyle ile u nas ogród warzywny zajmuje; zasiany owies często niedojrzewa, żyta na chléb nie ma, jęczmienia mało, a o pszenicy nawet ani pomyślić. Dlatego doskonale w przysłowiu góral swoją opisuje ojczyznę, że tam *początek wody, a koniec chleba.*

Bo za prawdę, wody nie zbraknie, ale chleba co rok brakuje. Musi więc to ubóstwo i zagrożenie od głodowej śmierci, zastawiać pracą ciężką i przemysłem. Dlatego widzimy naszych górali, jak schodzą na doliny z kosą na zarobek, jak się trudnią furmanką do przewożenia różnych towarów, jak wyrabiają różne sprzęty drewniane i roznoszą je na sprzedaż.

Rzadko zobaczysz studnie, na wyższych górach wcale ich nie ma, bo gdzież je tu kopać?.. a domów nie mogą pokrywać słomą, bo słoma u nich to wielki zbytek; kryją więc dachy gontami, dranicami, albo deskami.

Nazywają się sami nie góralami, ale *Podhalanami*, od słowa *hal*, *hol*, co znaczy wysokie nagie góry, na których żadne drzewo nie rośnie, chociaż bywają tam łąki; ztąd *hole*, czyli *gole* po naszemu, bo często *g* na *h*, jak *a* na *o* zamieniają.

Ci, co najwyżej mieszkają, rozróżniają się od tych, co niższe osiedli góry, i nazywają ich *Lachami.*

Góry przerzynają głębokie doliny, a na nich ciągną się długie wioski, w nich domy podobne do siebie; kościół tylko, mieszkanie plebana i karczma, co się wyróżniają. Trudno powiedzieć, gdzie się kończą i zaczynają wioski, granicy bowiem pomiędzy niemi nie ma. Zwykle każdy dom ma w poblizkości zabudowania gospodarskie i role w dolinie, albo po

wirchach (górach). Niekiedy na bokach gór stoją pojedyńcze domki, otoczone kilku drzewami; należą one pospolicie do rozrodzonych członków jednej familii, i takie domy nazywają *potrawnemi*, do których jak mówią podhalanie, rzadko zajrzy wojak i ksiądz. Dlatego trudno dopytać się nazwiska wiosek w tych górach; sami bowiem jej mieszkańcy nie wiedzą o niem. Wiedzą tylko, jak się zowią rodziny, gdzie mieszkają *Janikowie*, *Toporowie*, *Gąsienicowie*, *Kołatowie*, *Mrożkowie*, łatwo się o to dowiedzieć, ale do jakiej wioski należą owe domki rozrzucone, dojść trudno.

Ładne są one i składne, stawiane z okrąglaków, mają duże okna z czystemi szybami; wewnątrz czyste i porządne. Sień dzieli dom na dwie części: z jednej strony jest izba *czarna*, z drugiej *biała*, a za nią mała komórka na schowanie przeznaczona. Pierwsza zwykle obszerniejsza, prawdziwie *czarna izba*, ma w jednym końcu ognisko, z którego dym nie kominem, ale po całej rozchodząc się izbie drzwiami wychodzi. Kiedy się na ognisku pali, powstaje gęsty obłok dymny unoszący się do połowy wysokości izby, i kto nie nawykł do niego, wytrzymać tam nie może, bo bardzo szczypie w oczy. Tu gotują, tu czeladź w zimie przebywa, tu wchodzi młode cielę z krową i inne czworonożne zwierzęta domowe, bo wszystko, co żyje, garnie się do ciepła w zimie ostrej a mroźnej.

Z drugiej strony jest *izba biała*, nadzwyczaj schludna, z podłogą z desek czysto wymytą; wokoło przymocowana ława, w jednym rogu stoi stół cisowy, na przeciwnej ścianie na pułkach stoją różnokolorowe talerze, miski, miseczki; nad niemi rzędy garnków i dzbanków polewanych. W drugim rogu, nad obszernem łóżkiem licznemi pierzynami zasłanem, wiszą obrazy świętych prostego pędzla. Jest tu piec i komin. Tu przebywa *gazda* (tak się nazywa gospodarz), tu odwiedzających przyjmuje, tu się odbywają zabawy domowe.

Porządne są i zabudowania gospodarskie, małe stodółki, stajnie, wozownie w czworobok, a wśrodku podwórzec niekiedy płaskiemi kamieniami wyłożony.

W stajniach dorodny, krępy konik góralski, kilka krów, wołów i trzodka owiec; jest i niejeden wózek, zgrabnie, a lekko wyrobiony. Przed domem zasadzają drzewa dla zasłony od wichrów; cienia podhalan nie potrzebuje, bo na dnie gorące w górach skarżyć się nie można. Jesiony, najpiękniej i najbujniej tu się rozrastają. Drzewo to wielce dla górali użyteczne; z jesionów bowiem sporządzają sobie zgrabne wózki i wszelkiego rodzaju sprzęty na domową potrzebę i na sprzedaż.

Ogródki małe bywają przy domach, i tam gdzie słońce więcej i dłużej przygrzewa, bo w innych stronach owoce nie dojrzewają. Ów konik krępy góralski, to szczególnej dobroci stworzenie. Przyzwyczajony do skromnej strawy, żywi się trawą i sianem, bo owsa rzadko kiedy zobaczy; konik taki, to prawa ręka górala. Na nim przewozi bryndze, mleko, séry i żentyce; zaprzężony do wózka ciągnie ciężary; do wierzchu użyty, nieoszacowany, bo gdzie nie przejdzie sam zwinny góral, konik jego śmiało stąpa. W miejscach śliskich, skalistych, a niebezpiecznych, spuszcza łeb, zdaje się rozpatrywać uważnie miejscowość i wietrzyć, zanim postawi nogę. Do biegu rączy, do pociągu silny, do wierzchu bezpieczny; to są zalety konika góralskiego.

Podhalanie silnie i pięknie zbudowani; mężczyzni w ogóle dorodni, kobiety nie wszędzie, ale rodami są tak urodne obliczem i kształtem, że pomiędzy najpiękniejszemi mogłyby zajaśnieć.



Ubiór górala zastosowany do miejscowości, do wdrapywania się na wyniosłe góry, wszędzie jest jednostajny. Noszą długie do kostek

z białego sukna spodnie, opięte, węgierską kolorową włóczką wyszywane; na nogach zamiast buta, kawał skóry zwiniętej w kształcie trzewika, przymocowany rzemieniem, co nazywają *kierpcami*. Ztąd też górali wyśmiewając krakowiacy, nazywają ich *kierpcaszami*, a na smukłą ich postać, zwinność, szybkość w chodzie i zręczność w poskoku, krótki ubiór mają, przypowieść że:

Góral ma nogi bocianie,
Kogo zechce, to dostanie.

Ten rodzaj obuwia, zwany inaczej *kurpiami*, *chodakami*, albo *postołami*, ma wielkie zalety, w nich bowiem po górach zachowuje noga zwykłą giętkość. Krótką koszulę, w połowie jak nasza, spajają pod gardłem ogromną spinką mosiężną, a ta dźwiga liczne łańcuszki. Jest to rodzaj ozdoby ulubionej od młodych *johasów* czyli pasterzy owiec. Przepasują się wielkim pasem z czerwonej skóry na pół łokcia i więcej szerokim, spinając go na przodzie długim rzędem dużych, mosiężnych sprzączek. Pas ten służy im za kieszenie, których nie używają: w nim pieniądze, tytóń, skałki do krzesania ognia i różne drobiazgi przechowują; dla większej ozdoby, wybijają go wielkiemi mosiężnemi guzikami. Zwierzchnią suknię stanowi *gunia*, z grubego brunatnego, zwykle, a czasem białego sukna, którą jakby płaszcz zawieszają, a czasami wdziewają na rękawy. Gunia tym jest krótszą, im z wyższych gór są mieszkańcy. Podczas zimy używają kożucha, albo kurtki z granatowego sukna. Głowę pokrywa mały kapelusik, z okrągłem dnem, a wązkiem kołem, obwity albo skórą wybijaną wzorzyście z guzików mosiężnych, albo okręcony sznurkiem morskich muszelek, wielce cenionych u wszystkich górali naszych. Sami sobie cały ubiór wyrabiają, prócz kapeluszy, które kupują po miasteczkach.

Góralki noszą na codzień kierpce, na dnie świąteczne wdziewają żółte safianowe buciki na wysokich korkach; koszula wyszywana kolorową włóczką, długa spódnica ciemno niebieska z białemi kwiatami, na to gunia podobna do męzkiej. Włosy zaplatają w długie warkocze, lub chustką białą obwijają głowę.

Ustęp z przejażdżki po Podlasiu.

Przed kilu laty przejeżdżałam jedną część Podlasia, i jak to bywa niekiedy, że gdy jest najśpieszniej, wypadek się zdarza i podróż dalszą wstrzymuje. Tak i mnie się stało; oś się złamała w powozie niedaleko wioski. Woźnica podłożywszy drąg pod zepsute koło, dowlókł mnie do wspomnionej wsi. Stanąwszy przed karczmą, zapytałam siedzących na progu ludzi o kowala.

—Jest tu kowal galanty, odpowiedział jeden powstawszy, ale nie będzie dziś z niego pociechy, bo się upił.

— Ale gdzie on jest? zapytałam.

— A gdzież ma być? w karczmie odpowiedział tenże gospodarz.

— Cóż to, że przy dniu powszednim tyle ludzi w karczmie? zagadnęłam drugiego, co stał nieopodal, sądząc, że z tym łatwiej się będę mogła rozmówić.

— Alboż to dnia powszedniego, odpowiedział, z trudnością obracając językiem, do karczmy chodzić nie wolno, któż to zabronił?

— Umarła, widzi wielmożna pani, matka jednego gospodarza, a kuma kowalowa, odezwała się siedząca baba na progu, także dobrze podpiła, ludzie po pogrzebie zeszli się do karczmy i piją za duszę nieboszki.

— A bójcież się Boga! rzekłam, czyliby nie lepiej za jej duszę w cichości pomodlić się, a grosz stracony rozdać ubogim, by do Boga westchnęli za nieboszkę?

— I nie gniewa się tam ona o to, rzekł jakiś, trzymając się słupa podsienia, boć i ona galanto pić lubiła.

— U nas takowy zwyczaj, żeby pani wiedziała, znowu odezwała się baba siedząca na progu; tak robili nasi ojcowie i matki, to i my tak robimy.

Oj to też to pomyślałam w skrytości ducha, biada, że ci ojcowie i matki złe dzieciom po sobie zostawiają przykłady, skazując ich prawie od kolebki na występki. Otrząsnąwszy się nareszcie ze smutnych myśli, które mnie ztąd opanowały, rzekłam do baby:

— Możebyście mi moja kobieto wywołali kowala?

— On nie wyjdzie, odpowiedziała mi stanowczo, i kuć dziś nie będzie, wiem doku-

mentnie, żeby mu wielmożna pani dukatami samemi płaciła... co tam o tem gadać!

Widząc, że nic nie poradzę, weszłam sama do szynkowni. Trudno się było przepchać przez zgraję nieprzytomnych, z których jedni mruczeli coś sobie pod nosem, drudzy krzyczeli, kobiety jedne śpiewały, drugie płakały; kowal zaś stał na środku i coś dowodził. Zbliżyłam się do niego i rzekłam:

— Panie majstrze, zlituj się, i chciej mi oś, która się złamała, naprawić; podróżną jestem, czas mi bardzo drogi.

— Wziąwszy się, naprawiłbym, rzekł, ale dziś nie mogę w żaden sposób; umarła moja kuma, a oto matka tego gospodarza, i wskazał mi to mówiąc chłopa, co się nie mógł utrzymać na nogach. Wróciłem z pogrzebu, dalej mówił, i oto jego cieszyć muszę.

— Tak, tak, rzekł ów syn pobożny, co żal po matce tak święcił; dziś pan Mateusz robić nie będzie, niech wielmożna pani poczeka sobie.

— Już proszę pani apart tego, słonko zachodzi, mówił kowal, mrużące się oczy zwracając ku oknu.

— Ale co znów, rzekłam doń, wszak to dopiero godzina druga z południa.

— Druga?.. hm! powtórzył majster, zobaczę ja tę oś, i wytoczył się na dwór, gdzie stał powóz.

— A ha! rzekł spojrzawszy zaledwie, fuszerska robota; ja Mateusz Młociński nie robię po fuszersku, uchowaj Boże... wziąwszy się apart tego zrobię wielmożnej pani galanto, ale nie dziś, i to rzekłszy, szczęśliwie poszedł sobie, zostawiwszy mnie z kwitkiem.

Zapytałam obecnych, czy nie ma gdzie w okolicy drugiego kowala.

— Gdzie tu drugi taki?... bełkotała na progu baba, nie znajdzie go zapewne: pan Mateusz kocze, karety lepiej jak w Warszawie kuje.

Nie wiele myśląc, poszłam znów do izby za kowalem, ale już dogadać się z nim trudno było, powtarzał tylko widać ulubione swoje przysłowia: wziąwszy się zrobię wielmożnej pani, apart tego, dokumentnie... ale jutro. Ze smutkiem powiodłam oczami naokoło i gdy tak smutnemi zajęta myślami, siedziałam na progu, przyszła jakaś kobieta obdarta, z wynędzniałem dzieckiem na ręku, i przez okno do izby szynkarskiej wołać zaczęła:

— Mateuszu, bój się samego Boga, idź do kuźni, czeka sześć koni do okucia, dwie bryczki i pojazd do naprawy; ludzie przysłani z tem niecierpliwią się.

— Wziąwszy się, nie pójdę, krzyknął kowal, idź apart tego do milion... ani mi gadać o robocie, bo... i ścisnął pięście i zębami zgrzytnął.

Biedna kobieta płakać poczęła i wyrzekać.

— Czy to mąż pani? zapytałam.

— A toć mąż, odpowiedziała; bodajbym go była nie znała proszę wielmożnej pani; majster z majstrów, roboty pełno z najdalszych stron, tak gruntownie robi, ale co zarobi, to wszystko straci. A ja oto goła chodzę, a czasem to i do gęby nie mam co włożyć. Tu sławna okolica z pijaków, mówiła dalej; ludzie, proszę wielmożnej pani o tych stronach różne opowiadaję historye, że gdzieś tu w okolicy, była karczma przy trakcie. Zeszło się raz pijaków co niemiara, i nuż pić i tańcować, i gdy tak w najlepsze hulają, jedzie ksiądz do chorego. Dziadek stojący przed karczmą, krzyknął, wbiegając do szynkowni: ludzie! ksiądz jedzie z Panem Bogiem, upadajcie na kolana. Ale co pijakowi gadać?.. Ty tak, on tak; nie posłuchali, jeno dalej tańcowali. Otóż tego tańca już zaprzestać w żaden sposób nie mogli, i tańcowali i tańcowali, a muzyka grała, a szynkarka dolewała, i tak tańcując ciągle, wtańcowali się w ziemię po kostki, dalej po kolana, po pas, aż nareszcie z głowami schowali się, karczma się nad nimi zawaliła, i jak ludzie mówią, że dotąd tam tańcują, bo słychać w tym miejscu muzykę i tupania. (1).

I biedna kobieta nic nie wskórawszy, poszła do domu, wzdychając, a ja widząc, że nic z kowalem nie poradzę, kazawszy zajechać do karczmy woźnicy, poszłam zwiedzić wioskę. Wszędzie nędza przebijała, dzieci obdarte leżały po pod domami pustemi, dachy poobdzierane, wszędzie nieład, nieporządek, ani jednego przed domem ogródka. Poza wsią stał w polu cmentarz rowem niegłębokim obwiedziony, chwastem cały zarosły; krzyże tylko spróchniałe gdzieniegdzie stojąc, wskazywały, że to cmentarz być musi. Wracając z tej smutnej wędrówki, wstąpiłam do kowalki dowiedzieć się, czy mąż jej nie przyszedł.

— Nie ma go, odpowiedziała.

(1) Podanie na Podlasiu.

Dobra nowina, pomyślałam. W mieszkaniu kowalki straszna przebijała nędza. Kuźnia stała otworem.

— Czy mąż nie ma czeladzi? zapytałam kowalki.

— Dawniej była i czeladź, odpowiedziała, kiedy żył po bożemu, a teraz to i płacić i karmić nie byłoby czem; a zresztą żeby najlepszego czeladnika, jak go zaczął prześladować, to rzuciwszy takiego majstra, uciekł bez wieści.

Wróciłam nareszcie do zajazdu, gdzie zanocować musiałam.

Nazajutrz pan Mateusz, któremu słowa prawdy powiedziałam, wziąwszy się apart tego, oś naprawił.

—

W lat potem sześć znowu przejeżdżałam przez tę wieś, lecz jakież było moje zadziwienie, gdy najprzód od wjazdu ujrzałam cmentarz porządnie ogrodzony, dalej wieś ładnie zabudowaną! Przed domami ogródki, wzorowy porządek, na twarzach mieszkańców uśmiech wesoły, dzieci porządnie ubrane nie walały się w próżniactwie pod domami. Dla przekucia konia stanęłam przed kuźnią, sądząc, że znów trzeba będzie pana majstra szukać w szynkowni; ale pan Mateusz wziąwszy się apart tego, kuł w kuźni z wypogodzoną twarzą, a z nim kilku czeladzi.

— Cóż to ja widzę za zmiany!.. rzekłam do kowalki siedzącej na progu domu.

— O! proszę wielmożnej pani, odpowiedziała, poznając mnie, mój mąż inny człowiek, zaprzestał złego nałogu i pięć lat tak pracuje.

— Zdaje mi się, rzekł kowal, wychodząc i przyglądając mi się, żem wielmożnej pani w tym powoziku przed kilku laty, wziąwszy się apart tego, oś naprawił.

— Tak, odpowiedziałam.

— A nie zepsuła się dotąd? zapytał.

— Nie.

— A ha! widzi wielmożna pani, jak ja się wziąwszy zrobię, to i diabeł nie popsuje, a tak się wielmożna pani apart tego gniewała wtedy na mnie.

— Ależ bo mój panie bałamuciłeś, musiałam dzień cały siedzieć dla ciebie.

— O! dziś już nie jestem owym Mateuszem, co dawniej; Bogu Najwyższemu dzięki, zarzekłem się nieszczęsnego nałogu. I oto dzięki Bogu, człowiekiem zostałem, mam teraz dostatki, i dziś nie mogę sobie wziąwszy się apart tego, przełożyć w głowie, jak ja mogłem tak źle postępować.

— Cieszy mnie to bardzo, odpowiedziałam, że was dziś widzę zdrowym człowiekiem.

Kowalka, że deszcz pruszyć począł, prosiła mnie do stancyi nim konia okują. Zdumiałam się, wchodząc na widok dwóch porządnie przybranych pokoików: piękne były łóżka, krzesełka, szafki i obrazy.

— Otóż ci Bóg, rzekłam, wynagrodził cierpienia w pokorze zniesione.

— Prawda, odpowiedziała, że tylko w skrytości płakałam, a Boga prosiłam o upamiętanie mojego męża.

— Ale widzę rzekłam, że i wieś pięknie się zabudowała.

— O bo i chłopki, mówiła kowalka, tylko piwo piją, i teraz dostatki mają, żyją jak panowie, a u każdego gospodarza leży gotówka w skrzyni.

Wtem wszedł kowal i rzekł:

— Wziąwszy się, okułem wielmożnej pani konia galanto.

Gdym się zabierała do wyjścia, uprzejma kowalka prosiła mnie usilnie, abym przyjęła u niej śmietanę na podwieczorek; nie mogłam się wymówić, i niebawem na pięknej tacy podała wyborną śmietanę z żytnim chlebem.

Podziękowawszy za uprzejme przyjęcie, wyjechałam serdecznie uradowana poprawą ubogich braci moich, prosząc gorąco Boga, by tych, co jeszcze zbłąkani na drodze nieprawości zostają, łaską swoją oświecił i na drogę cnoty naprowadził!

O żołnach i dzięciołach.

—

Z wielkiej liczby ptaków, przebywających w naszych lasach, *żołny* i *dzięcioły* bardzo pomiędzy sobą co do natury zbliżone, należą do arcy ciekawych i pod wielu względami użytecznych. Każdy rozsądny gospodarz leśny baczną niech na nie zwraca uwagę, i nie-

tylko ich nie powinien wyniszczać, ale i owszem nie płoszyć, nie przestraszać, z ich zjawienia się korzystać, uważać, gdzie głównie przebywają i w tej części lasu dołożyć usilności i starań, gdyż z pewnością najwięcej tam się znajduje drzew nadpróchniałych, usychających i owadów lasom znakomicie szkodliwych. Dzięcioły bowiem głównie żywią się najszkodliwszem w lasach robactwem, toczącem i nurtującem zaczynające się psuć drzewa.

Dzięcioły w ogóle odróżniają się od innych podobnych rodzajów. Ażeby się dzięcioł mógł doskonale przyczepić do drzewa i po niem łazić, a w czasie dłubania dziur i oddzierania kory utrzymać się silnie i niewzruszenie, Opatrzność obdarzyła go szczególnej budowy nogami i nadzwyczaj ciekawie urządzonym ogonem. Nogi dzieciołów usposobione do chodzenia i pełzania po drzewach, opatrzone są czterema żylastemi palcami, z których dwa naprzód, a dwa w tył obrócone. Duży palec dłuższy jest od innych, a wszystkie uzbrojone grubemi pazurami, utwierdzonemi na krótkiej bardzo muskularnej nodze, zdolnemi do wpijania się choćby w najsuchszą i najtwardszą korę. Ogon znowu składa się z 10 piór bardzo twardych, ostrych, z trudnością dających się zginać lub złamać, ale zawsze cokolwiek giętkich i sprężystych. W czasie dłubania dziobem, dzięcioł przypięty pazurami do drzewa, podpiera się na ogonie i jakby młotkiem, łbem swoim puka bardzo głośno i w szybki nieraz takt, aż się rozlega po lesie. I nieraz tak się zapalczywie zapracuje, że gdy nizko to się odbywa, to nierozsądny i na zgubę poczciwego ptaszęcia czychający człowiek prawie go gołą ręką złowić potrafi.

Bardzo jest wiele rozmaitych odmian i gatunków dzięciołów, stosownie do barwy ich piór, tudzież wielkości samych ptakow odrębnemi nazwiskami poznaczanych.

Największą liczbę gatunków pomieściła natura w okolicach wilgotnych i mglistych, smutnych i ponurych, gdzie się lęgnąć zwykło wszelkiego rodzaju robactwo. Opatrzność dobrotliwa dała im za cel oczyszczenie właśnie, niejako poprawienie takich zapadłych i zatęchniętych kotlin, wpośród lasów rozległych, bardzo częstych. Sposób życia i miejsce zamieszkania wyraźnie odbijają się na tych stworzeniach. Smutne to i ponuro wyglądające istoty! Kolory piór ich zwykle czarne lub ciemne, jaśniejszemi centkami tu i owdzie upstrzone; ruchy dziwaczne, a ciągle w ogromnej pracy i robocie, nie myślą nawet o uprzyjemnianiu sobie pożytecznej wprawdzie, ale ciężkiej i bardzo ciężkiej swojej doli!

Ze wszystkich ptaków, którym natura owady lub inne istoty na pożywienie wskazała, dzięcioły dostały w podziale najprzykrzejsze przeznaczenie. Skazała ona ich na ciężką pracę. Opatrzywszy inne ptaki różnemi własnościami, jakoto biegania, latania, ukrywania się i wykonywania rozmaitych przyjemnych podróży, śmiałość i zręczność ich okazujących, nadała dzięciołom kształt i sposób życia, zniewalający je do szukania pożywienia nie inaczej, jak włażąc na drzewa, odbijając na nich korę silnym dziobem i wyciągając ukrywające się pod nią robaki. Robotą tą zajęty będąc ciągle, nie zna dzięcioł wypoczynku i spokojności, i często drzemiąc po dziennych trudach, przyczepiony na drzewie całą noc przepędza.

Ptak więc ten nie podziela rozrywek innych napowietrznych mieszkańców, ani też ich wesół i zabaw. Wydaje on tylko dzikie krzyki, których żałośny dźwięk miesza przyjemną cichość lasów i ciężkich trudów jego zdaje się być odgłosem. Ruchy jego są nieraz powolne, wzrok niespokojny, kształt niezgrabny; unika wszelkiego towarzystwa, nawet sobie podobnych, żyje odrębnie i samotnie, a gdy przymuszony zostaje szukać sobie towarzyszki życia, to i wtenczas nawet delikatne uczucia ponurego jego nie ożywiają jestestwa.

Samotnik ten zdziczały i zprzągnięty do ciężkich obowiązków, z dziećmi nieraz obchodzi się chłodno i obojętnie. Kocha je widać i kocha bardzo, dostarcza żywności obficie, póki są niemowlętami, pilnuje ich od napaści i jakiejkolwiek szkody; ale nieraz widziano go smutnie zadumanego i posępnego nad uśpioną rodziną; albo znowu rozłoszczonego okropnie, karcącego wybryki niewinnej młodości swych piskląt. Rychło bardzo każe wychodzić dziatkom na naukę i wprawianie się do ciężkiej na życie pracy, a biedna matka ileż to razy nie śmie nawet zajrzeć do dziupli, gdzie pochmurny pan i mąż zaraz ją wypędza po żywność, lub całe dnie każe na siebie cze-

kać zgłodniałej i na boleśne dopominanie się dzieci o chleb powszedni wystawionej. Słota jakaś brzydka, upał wielki lub susza, niebezpieczne krzątanie się ludzi rąbiących sążnie, lub t. p. wypadki zatrzymały męża w podróży i wycieczkach za pożywieniem, nieraz bardzo dalekich, a tu siekiera grozi zrujnowaniem ich domu, mrówki zdradziecko zaczynają się wkradać do gniazda, zaczynają niepokoić niemowlęta jeszcze słabiutkie. Biedna matka! ileż ona godzin ma smutnych i bolesnych w swem życiu! I zdarza się jeszcze, że po takiem przykrem wyczekiwaniu przypada zmordowany i gniewliwy dzięcioł, bo ciężkie czasy, brak żywności, walka jaka z nieprzyjacielem, lub t. p. przeszkody rozjątrzyły go gdzieś w drodze.

Nie myślcie, abym wam tu zmyślone rzeczy opowiadał. Badania najznakomitszych naszych i obcych uczonych, dokładnie to stwierdzają. Ten świat jest wspaniały i rozległy, życie w nim urozmaicone, dziwne nieraz zjawiska przedstawiające. Nie sądźcie płocho najmniejszego stworzenia, a cóż dopiero ptastwa! Ma ono swoje odrębne w życiu wypadki i koleje, swoje radości, swoje kłopoty, swoje wesela i smutki, choroby i przykrości przeróżne; a jednakże nieraz jakże ochoczo i jak radośnie spełnia swoje przeznaczenie, przyśpiewując i hołd składając Najwyższemu, z którego ręki znów kiedyindziej tyle rozkoszy i szczęścia otrzymuje.

Powiedzieliśmy już, że dzięcioły głównie żywią się owadami. Jedne z nich znajdują pożywienie na ziemi, jak np. w mrowiskach, inne zaś, mianowicie u nas przebywające, szukać go muszą poza korą drzew; tamte walczą z całem wojskiem tnących dzielnie mrówek, te męczą się pracą mozolną.

Gnieżdżą się zaś dzięcioły szczególnie w dziuplach drzew, przez nich samych wydłubanych misternie, osobliwie też w sosnach, wierzbie, iwie, w osice, olszy i t. p. Tam one składają jajka i dzieci wysiadują. Dzięcioły i sójki są zarazem zasiewaczami lasow, roznosząc w różne miejsca szyszki i wytrząsając z nich nasiona, któremi się żywią.

W Polsce i w sąsiednich państwach żyją następujące główne dzięciołów gatunki:

1. *Żołna* czyli *dzięcioł czarny*, wielkości małej wrony. Samcy odróżniają się od samic błyszczącym wierzchem głowy koloru pięknie pąsowego, w kształcie jarmułki. Jaj żółna składa od 2ch do 3ch koloru białego. W zimie u nas ptak ten nie pokazuje się. Jest on jak mówią, najniebezpieczniejszym niszczycielem pszczół, który do ulów nawet się wdziera, albo tylko długi swój język wsuwa i obsiadłe pszczoły połyka; ale to nie jest rzeczywiście tak powszechnem. Stukanie żołny w korę drzew przy szukaniu owadów, podobne jest zdaleka równie jak i dzięcioła do uderzeń siekiery.

2. *Dzięcioł zielony*, wielkości turkawki, z wierzchu zielony, spodem białawy; wierzch głowy ma czerwony, grzbiet żółty, należy do liczby pięknych naszych ptaków.

Jaj składa około 5, koloru zielonawego z czarnemi plamkami.

Wbrew zwyczajowi dzięciołów spuszcza się niekiedy na ziemię, osobliwie na mrowiska, z których kleistym swym językiem mrówki i jajka wypija, (to jest wybiera) i niemi się żywi.

Trzeci gatunek jest tak nazwany *dzięcioł większy*, upstrzony z wierzchu białym i czarnym kolorem, pod brzuchem biały, około tylnej części czerwony; plama na grzbiecie u samca takiegoż bywa koloru. Ten dzięcioł jest u nas bardzo pospolity.

Oprócz tych gatunków dzięciołów, są jeszcze w Europie: *dzięcioł średni* i *dzięcioł mały*, podobne do naszego pstrokatego. W innych częściach świata, jest także bardzo dużo gatunków, wielkie pomiędzy sobą mających podobieństwo, nawet ubarwieniem, jak np. czerwoną jarmułką na głowie, którą większa ich część jest opatrzona.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90— kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwolona, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie.
Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 14 (26) listopada 1860 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański*.